

## ARTYŚCI POLSCY W RZYMIE

„Artyści polscy w Rzymie (Garść wspomnień)” to tytuł artykułu Antoniego Madeyskiego, który w sposób przekrojowy ukazuje polską kolonię artystyczną Rzymu. Wspomnienia opublikowane w 1930 roku na łamach miesięcznika *Sztuki Piękne* są dobrym punktem wyjścia do poznania życia i twórczości polskich artystów związanych z Wiecznym Miastem, nic więc dziwnego, że cytowane są często w publikacjach poświęconych tej tematyce. Naszym zdaniem, zasługują na przypomnienie w całości. W zamieszczonym poniżej przedruku zastosowano oryginalną pisownię, imiona i nazwiska artystów zaznaczono tłustym drukiem, w nawiasach kwadratowych uściślono niektóre informacje, zachowano wszystkie czarno-białe ilustracje.

*Redakcja*



HENRYK SIEMIRADZKI - SZKIC DO KURTINY TEATRU LWOWSKIEGO (ol.)

### ARTYŚCI POLSCY W RZYMIE

(GARŚĆ WSPOMNIENI)

**S**TARZY ludzie zwykli mawiać, że za dawnych czasów, za czasów ich młodości, żyło się lepiej na świecie, dawni bywalcy jakiejś uczęszczanej miejscowości mówią to samo nowoprzybyłym. I o Rzymie my, niegdyś młodzi, słyszeliśmy to samo od starych, których tu zastaliśmy, w tym jednak wypadku nie było to tylko zwykłe starcze zrządzenie.

Warunki życia i pracy w Rzymie, zwłaszcza dla artystów, w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu zmieniały się stopniowo na gorsze, a od początku bieżącego stulecia szło to nawet w bardzo przyspieszonym tempie.

*Sztuki Piękne* R. VI, nr 1 (1930), s. 1-19

## ARTYŚCI POLSCY W RZYMIE (GARŚĆ WSPOMNIENI)

Starzy ludzie zwykli mawiać, że za dawnych czasów, za czasów ich młodości, żyło się lepiej na świecie, dawni bywalcy jakiejś uczęszczanej miejscowości mówią to samo nowoprzybyłym. I o Rzymie my, niegdyś młodszy, słyszeliśmy to samo od starych, których tu zastaliśmy, w tym jednak wypadku nie było to tylko zwykłe starcze zręczenie. Warunki życia i pracy w Rzymie, zwłaszcza dla artystów, w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu zmieniały się stopniowo na gorsze, a od początku bieżącego stulecia szło to nawet w bardzo przyspieszonym tempie.

Wieczne Miasto zatracalo swój dawny, prastary charakter. Ginęły typowe odwieczne dzielnice, szacowne ruiny wznosiły się wyżej nad rozkopaną i zniwelowaną ziemią, ale obdzierane z wiekowych narości, nagie i sztywne, twarzo się rysowały na tle nowych budowli. Miasto rosło, zaludniało się, regulowało się i czyściło, rozbudowywało się gwałtownie, ale traciło wiele ze swego specjalnego uroku.

Dzisiejsza rozrosła, zmodernizowana, huczna stolica, to nie dawny zaciszny, malowniczy, a pomimo swej czcigodnej magnificencji, taki jakiś swojski i miły Rzym. Tamten, z przed laty, był rajem dla artystów. Mieli tu oni w przepięknym otoczeniu najidealniejsze warunki do pracy: pracownie, modele, materiały, środki i personel pomocniczy (zwłaszcza dla rzeźbiarzy) w obfitości i za bezcen. Życie było tanie, wino doskonałe, a przytem Rzym przed laty był wcale dobrym rynkiem zbytu. To też z całego świata ciągnęli tu młodzi adepci sztuki, czy to jako laureaci akademij i stypendyści swych rządów, czy zasobni we własne środki, albo tylko w zapal siarczysty i wolę wytrwałą.

Niektórym pobyt w Rzymie tak przypadł do gustu, że przedłużali czas studiów, odkładali wyjazd z roku na rok, mijały dziesiątki i nieraz dawny studjosus, jako patryarcha kolonji, składał swe kości na Campo Verano\* [Główny cmentarz rzymski].



HENRYK SIEMIRADZKI – IDYLLA (ol.)

Poza masą świeckich i klauzurowych duchownych zrzeżeń różnych narodowości, międzynarodowa społeczność artystyczna była najliczniejsza w Rzymie i nadawała do pewnego stopnia ton życiu wiecznego miasta. Artyści czuli się tu jak u siebie w domu. Przychodzili w południe na obiad do »trattorji« w roboczych bluzach, a rzeźbiarze i w papierowych czapkach na głowie. Nikogo to nie raziło. Najbarwniejsze pochody i najhuczniejsze zabawy w karnawale, najweselsze i najbardziej pomysłowe karciofolady w kwietniu urządzali artyści. Lubił ich lud rzymski i za swoich uważał, bez względu na to czy byli to Włosi, czy cudzoziemcy.

Polscy artyści zaczęli liczniej przybywać do Rzymu w pierwszej połowie zeszłego wieku, czy to jako stypendyści krajowych uczelni, czy też ci, którzy po ukończeniu warszawskiej Szkoły sztuk pięknych, albo wydziału sztuki na Uniwersytecie wileńskim, udawali się na dalszą naukę do petersburskiej Akademji, a zdobywszy tam odznaczenia i medale, wysyłani bywali za granicę. Inni przybywają ze Szkoły krakowskiej a potem i lwowskiej, coraz liczniej, w miarę rozwoju studjów artystycznych w Polsce.

Z tej licznej rzeszy kilkunastu znaczną część życia w Rzymie spędziło, wykonało tu swoje najwybitniejsze prace, a kilku spoczęło na wieki na miejscowym cmentarzu.

Poświęcam nieco obszerniejsze wzmianki tym z artystów polskich, przebywających niegdyś w Rzymie, z którymi łączyły mnie przed laty zażyłe stosunki, albo tym, o których mam pewne wiadomości od moich przyjaciół i wreszcie takim, którzy albo już odeszli, albo Rzym opuścili, ale po których pozostało tu jeszcze żywe wspomnienie.

Żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają w Rzymie sympatyczną postać malarza **Aleksandra Stankiewicza**. Będąc dzieckiem w Warszawie, sąsiadował i kolegował się w szkole z Chopinem.

Po ukończeniu warszawskiej szkoły rysunkowej został wysłany do Petersbuskiej Akademii Sztuk P., tam korzystał z poparcia ministra Turkułła. Ogromnych zdolności, doskonały rysownik, wdzięcznie i subtelnie malował i rysował małe portreciki. Koledzy w Akademii uważali sobie za zaszczyt, kiedy im rysunki korygował.

Stankiewicz przybył do Rzymu jakoby przed rokiem 1848 i już w tym roku miał należeć do rzymskiej kolonji, która robiła honory Mickiewiczowi, przybyłemu tu ze swoim legionem\* [Tak twierdzą ludzie, którzy o tem słyszeli od samego Stankiewicza, katalog zaś wystawy lwowskiej z 1894 roku notuje, że Stankiewicz przyjechał do Rzymu w roku 1850].

Niestety za miękkim, za usłużnym, za dobrym towarzyszem na wycieczce i w knajpce był Stankiewicz, przyjezdni przepadali za jego towarzystwem, nadużywali usłużności. Za mało malował. Pozostało po nim najmiłsze wspomnienie u tych co go znali, ale jako artysta zmarnował świetne zdolności, nie pozostawił po sobie spuścizny. Umarł około roku 1890 [1892].

Współczesnym Stankiewicza był **Henryk Cieszkowski**, także, jak tamten, lubiany i szanowany przez swoich i obcych, zdolny pejzażysta, rozkochany w nastrojowym wdzięku rzymskiej kampanji, której melancholijną krasę odtwarzał z głębokim odczuciem. Jego obrazy chętnie kupowali handlarze, szły one przeważnie do Anglii i do Ameryki. Cieszkowski umarł w kilka lat po Stankiewiczu [1895], pochowany we wspólnym z nim grobie.

Typowym polskim rzymianinem był rzeźbiarz **Wiktor Łodzia Brodzki**, laureat Petersburskiej Akademii. Odwiedzał on Rzym kilkakrotnie jeszcze jako student, przed 1855 rokiem, a to dla wykonania w marmurze kilku zamówień rosyjskiego dworu. Około 1855 r. osiadł tu na stałe. Urodzony w Aleksinku, na Wołyniu w roku 1817\* wychowywał się na Polesiu owruckim u swojej krewnej, pani stolnikowej Załęskiej. [We wspomnianym już wyżej katalogu lwowskiej wystawy data urodzenia Brodzkiego podana jest na rok 1825. Sądzę,

że dziś już nie będzie niedyskrecją, gdy ten błąd sprostuję.] Jego barwne opowiadania o życiu dworu wiejskiego na głuchem Polesiu w pierwszej połowie zeszłego wieku przypominały ustępy z pamiętników Detiuka, a niekiedy i Duklana Ochockiego. Po ukończeniu gimnazjum w Mozyrzcu, praktykował w kancelarii adwokackiej w Żytomierzu, potem był urzędnikiem w Owruczu. Tam, przejeżdżając przez to miasto, odkrył go i namówił do udania się na studia do Petersburga sławny w owe czasy *chodataj*\* Żelwietr, którego tak ciekawie charakteryzuje w swoich wspomnieniach »W Peterburku« Stanisław Morawski [*Chodatajami* w zaborze rosyjskim nazywali się ludzie obznajomieni z prawem, nie zawsze adwokaci, ale sprytni i obrotni, którzy się podejmowali prowadzenia spraw obywatelstwa polskiego w urzędach i sądach gubernialnych i stołecznych].

Brodzki pracowity i pilny, zdobywał w akademii nagrody, a kończąc studia, za grupę *Adonisa przy źródle* otrzymał wielki złoty medal i stypendjum do Rzymu.

Posypały się roboty carskie i prywatne, rzymska jego pracownia była uczęszczana przez cudzoziemców i Polaków, wiele prac musiał powtarzać po kilka razy, bo coraz nowych znajdowały nabywców. Parę jego figur staje na ołtarzach rzymskich kościołów, w krużganku cmentarza Campo Verano pomnik, który Brodzki wykonał w kaplicy grobowej baronowej Giordano Apostoli, często i dziś jeszcze ludek rzymski nazywa najpiękniejszym monumentem na tym cmentarzu. Z tem wszystkim nie była to silna indywidualność artystyczna: za mało się posługiwał naturą, nie zdołał się nigdy wyzwolić z pęt zimnej konwencjonalnej manieri pseudoklasycznej w traktowaniu ciała i draperji, w kompozycji już raczej romantyk, wprowadzał czasem tyle znaczących szczegółów, że szkodziły całości, a bez objaśnień nie mogły być rozumiane.

Najlepsze jego dzieła to trzy prace dekoracyjne: dwa Amorki w konchach i kominek w stylu rococo w pałacu carskosielskim pod Petersburgiem.

Człowiekiem był zacnym, uczynnym i dobroczynnym. Zachował gorące przywiązanie do kraju, prawie każde polskie muzeum posiada jakąś pracę Brodzkiego, nieraz większych rozmiarów w marmurze i to są jego dary.

Jego było zasługą, że na Capitolu, w pałacu konserwatorów, stoi popiersie Mickiewicza i że odpowiednia tablica murowana na domu Nr. 111-112 na via Del Pozetto objaśnia, że tam mieszkał Wieszczyński w roku 1848. Obdarzał polskie kościoły, hojnie wspierał rodaków, zwłaszcza w okresie swego wielkiego powodzenia.



WIKTOR BRODZKI –  
KOMINEK MARMUROWY W PAŁACU CARSKOSIELSKIM POD PETROGRADEM

Posiadał sobie właściwy, trochę złośliwy dowcip, który pomimo pewnych jego dziwactw drażliwości, czynił go zajmującym w towarzystwie. Miał wielkie powodzenie u kobiet, zwłaszcza w wieku dojrzałym, kiedy nabrał pewności siebie, za młodu był bardzo nieśmiały, wychowanie u pani stolnikowej było staroświeckiej mody: kawaler na odjeździe do szkoły i za przyjazdem na wakacje, bez względu na dobrą lub złą cenzurę, dostawał na kobiercu baty, jeśli nie za karę, to na to, żeby się nie popsuł. Taki system, przy braku rodzinnej czułości, pozbawiał młodzieńca kontenansu.

Słabą stroną Brodzkiego (już w Rzymie) było przekonanie, że wynalazł motor i sposób kierowania balonem. Ten jego pomysł był zupełnie dziecinny, nie trzeba było być technikiem, żeby widząc modelik mechanizmu, który on z drzewa, trzcin i papieru skonstruował, poznać, że to jest nic warte. Oto opis przyrządu w paru słowach: pod cygarowego kształtu balonem zawieszona lekka płaszczyzna, chyląca się w dół ku tyłowi, przecinają ją skośne dwie poziome osie, zakończone w tyle wiatraczkami, a opatrzone na przodzie śmigłami, wiatraczki obracają osie, gdy je porusza wirowo prąd powietrza ześlizgującego

się ze skośnej płaszczyzny, przy wznoszeniu się balonu, o tem, że ten motor po ustaniu wznoszenia się musiał stanąć, nie podobna było przekonać zanego wynalazcy, zresztą kto go znał bliżej, nie ważył się zdradzać przy nim swego powątpiewania o wartości motoru, bo mistrz dostawał palpacji serca, a dla niefortunnego krytyka na zawsze zachowywał urazę.

Podejrzliwym był i nieufnym, zwłaszcza w podeszłym wieku, obawiał się, by ktoś nie przyswoił sobie jego odkrycia.

Kilkanaście ostatnich lat życia już nie pracował, żył skromnie, przeżywając oszczędności z dawnych świetnych czasów. Tknięty paraliżem wegetował kilkanaście miesięcy, to się wzmacniając, to zapadając ponownie. Zmarł w szpitalu OO. Bonifratrów na Isola Tiberina w roku 1904. Spoczął we wspólnym z Aleksandrem Gierymskim grobie na Campo Verano.



WIKTOR BRODZKI - PIERWSZE PODSZEPTY MIŁOŚCI (marmur)  
(Muzeum Narodowe w Krakowie)

Nieco starszym od Brodzkiego był rzeźbiarz **Oskar Sosnowski**, wychowanek Liceum krzemienieckiego. Bogaty obywatel z Wołynia, magnat nieledwie, wysoko skoligacony w kraju, oddał się rzeźbie z pasją i poświęceniem, żyjąc w pracowni, jak asceta. Niestety miłość dla sztuki nie łączyła się w nim z większym talentem. Jego rzeźby zimne i sztywne, pozbawione wyrazu, były

często całkiem nieudolne. Typowym okazem tej nieudolności jest ofiarowana przez Sosnowskiego do nowego gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego grupa Jadwigi i Jagiełły. Władze uniwersyteckie nie chcąc przyjąć tego daru, odraczały pod różnymi pozorami ustawienie tej rzeźby, a po śmierci autora i ofiarodawcy ustąpiły ją miastu, które umieściło grupę na tak zwanym pagórku Mayera, na Plantacjach. Było to w latach 80-tych.

Inne tego rodzaju rzeźby Sosnowskiego w gipsie i w marmurze przechowują się w Kolegium Polskim na via Dei Maroniti i u OO. Zmartwychwstańców, korzystnie natomiast wyróżnia się jego figura Chrystusa w grobie, w kościele OO. Karmelitów w Warszawie.

Do młodszej od poprzedniej generacji należą rzeźbiarze **Pius Weloński** i **Teodor Rygier**.

Pierwszy z nich, też laureat petersburski, gdzie uzyskał złoty medal, autor pięknej grupy »Bojana«, która w marmurze zdobi klatkę schodową petersburskiej Akademji, a w bronzie, poświęcona pamięci Bohdana Zaleskiego, stoi wśród zieleni krakowskich plantacji, długie lata pracował w Rzymie, tu wykonał znany posąg »Gładjatora« i wiele innych prac.

Przed dwudziestu kilku laty powrócił do kraju, tam jego dziełem są wielkie grupy drogi krzyżowej na Jasnej Górze w Częstochowie. Mieszka obecnie i pracuje w Warszawie.



TEODOR RYGIER – POPIERSIE KOBIETY (marmur), PIUS WELOŃSKI – JAN KOCHANOWSKI (bronz)  
(Muzeum Narodowe w Krakowie)



**Teodor Rygier**, autor pomnika Mickiewicza na Rynku krakowskim, większą część życia spędził w Rzymie i tu zmarł nagle kilkanaście lat temu. Jedną z najpiękniejszych jego prac jest niewielka figura Kopernika siedzącego w fotelu. Pomnik Mickiewicza nie przyniósł mu szczęścia, pracami swojimi zasłużył na lepszą famę, niż ta, jaką go darzą rodacy.

W roku 1872 osiada w Rzymie **Henryk Siemiradzki**. Urodzony w 1843 r. w Charkowie, tam kończy wydział matematyczno-przyrodniczy, poczem udaje się do petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie zdobywa wielki złoty medal. Tu w Rzymie tworzy szereg swoich wielkich obrazów, oraz kurtyny do teatrów w Krakowie i Lwowie. Ofiarowując Krakowowi (w r. 1881) »Pochodnie Nerona«, kładzie podwalinę pod Muzeum Narodowe.

Prace jego zdobią muzea Petersburga i Moskwy, wiele jest w rękach prywatnych w Polsce i Rosji, więcej w Ameryce i Anglii.

Jego villa na via Gaeta gromadzi na »święconem« rozpierzchłą po Rzymie garstkę Polaków. Nieuleczalnie chory w roku 1902 jedzie do Polski i tam wkrótce umiera.

Wdowa, a obecnie syn jego z pietyzmem przechowują bogatą spuściznę po ojcu. Ściany pięknej pracowni do dziś są pokryte studjami i szkicami niezapomnianego artysty, a środek jej zdobi, ustawiony na sztaludze, ostatni jego wielki obraz »Chrystus otoczony dziećmi«.

Obecnie najdawniejszym rzymianinem jest **Stefan Bakalowicz**, i on odznaczony złotym medalem w Petersburgu, syn malarza Władysława, niedawno zmarłego w Paryżu i Wiktorji z Szymanowskich, znakomitej artystki dramatycznej. Zamieszkał w Rzymie w roku 1882. Maluje zrazu sceny rodzajowe z życia starożytnych Rzymian, potem i egipskie, wreszcie po kilku podróżach na wschód i do północnej Afryki, odtwarza również widoki i sceny z tych krajów. Ostatnio wykonał kilka udatnych portretów dostojników kościoła, naszych i obcych. Jego obrazy, przeważnie w małym formacie, odznaczają się poprawnym rysunkiem, miniaturowym wykończeniem, skrupulatną ścisłością w oddawaniu starożytnego tła i kostjumów, cieszyły się ogromnym powodzeniem w Rosji, żaden z wysłanych na tamtejsze wystawy nie powracał do autora. Pomimo podeszłego wieku artysta cieszy się dobrym zdrowiem i pracuje jak za młodych lat w swojej zacisznej pracowni na via Del Babuino.

Wypada też wspomnieć o najstarszym malarzu z tego szeregu, **Romanie Postempkim**, zmarłym w Rzymie w roku 1878.

Urodzony na Ukrainie, szkoły kończył w Humaniu, potem był uczniem Rustema w Uniwersytecie Wileńskim, następnie po kilkuletnich studiach w Paryżu, osiada w Rzymie, tu zakłada rodzinę, żeniąc się z Włoszką. Syn jego, sławny chirurg, dyrektor szpitala San Giacomo, zmarły przed kilkoma laty, prócz nazwiska i typu, nie posiadał żadnych polskich sentymentów. Jeśli tu wspominać o nich obu, to tylko dla tego, że odwiedzający Rzym Polacy, ze względu na popularność chirurga, musieli nieraz słyszeć to nazwisko.

Z prac Romana Postempskiego wiem o jednej, która jest w Polsce: to portret generała Karola Różyckiego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu, wykonał też kiedyś sztych Mickiewicza.

Prócz tych, że tak powiem, patryarchów artystycznej kolonii polskiej w Rzymie, w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, nie mówiąc o gościach sezonowych, albo przejezdnych, cały liczny zastęp artystów polskich przebywał tu na studiach po lat kilka, kilkanaście.

W pierwszej ćwierci zeszłego wieku, w okolicy Rzymu, pod Subiaco, ginie tragicznie, spadając ze skały, podczas rysowania krajobrazu uczeń Rustema, sztycharz **Juliusz Miszewski**, urodzony w Wilnie w 1790 roku.

Od roku 1823 w ciągu lat kilku studjuje w Akademii Ś-go Łukasza **Wojciech Stattler**, krakowainin (urodzony w roku 1800, zmarły w Warszawie w 1882), uczeń Brodowskiego, Peszkego i młodszego Lampiego. W Rzymie przyjaźni się z Mickiewiczem, pozostaje tu do roku 1833. Wkrótce po powrocie do kraju zostaje profesorem, potem dyrektorem krakowskiej Szkoły sztuk pięknych. W roku 1853 przyjeżdża znowu na parę lat do Rzymu. W tym też czasie studjuje tu jego syn **Henryk**, rzeźbiarz, który tu wykonywa w roku 1851 swój wielki medal (16 cm. średnicy) na smutną pamiątkę pożaru Krakowa w 1850 roku.

W Rzymie, po dłuższym tu pobycie w roku 1866 umiera rzeźbiarz **Władysław Oleszczyński**, brat sztycharza Antoniego.

W latach 30-tych zeszłego wieku bawią tu po parę lat na studiach **Rafał Hadziewicz**, pejzażysta **Jan Nepomucen Głowacki**, **Konstanty Rusiecki**, batalista **January Suchodolski**, ojciec Zdzisława, malarza religijnego i **Jan Maszkowski**, późniejszy profesor Szkoły malarstwa we Lwowie, nauczyciel Grottgera, Juliusza Kossaka i swego syna Marcelego.

Tu osiada około roku 1845 malarz religijny **Leopold Nowotny**, uczeń Führicha w Wiedniu i Kaulbacha w Monachium. Urzęduje w Rzymie, jako kustosz galerji książąt Odescalchich i tu umiera w 1875 roku [1870].

W 30-ch też latach bawi w Rzymie **Ksawery Kaniewski**, warszawianin, nagrodzony złotym medalem w Petersburskiej Akademji. Autor tych wspomnień nabył w Rzymie jego dwa ładne akwarelowe portreciki jakiejś młodej włoskiej pary, datowane: *Roma 1836*.

**Aleksander Kamiński**, wieloletni zasłużony profesor warszawskiej Szkoły sztuk pięknych, pracuje kilka lat w Rzymie po roku 1847. Początkowe studia odbywał w Warszawie, petersburska Akademia nagradza go złotym medalem.

Wilnianin **Albert Żamett**, współpracownik Albumu Wileńskiego, laureat petersburskiej Akademji (też złoty medal), wspomagany przez hr. Benedykta Tyszkiewicza, w roku 1852 zjeżdża do Rzymu na kilkoletnie studia, maluje obrazy rodzajowe i krajobrazy.

Około roku 1856 bawi w Rzymie **Henryk Pillati** z Warszawy, przybywa tu z Monachjum od Kaulbacha. Powróciwszy w roku 1857 do Warszawy, maluje obrazy historyczne i rodzajowe, oraz dwa satyryczne: »Turniej artystów« i »Rozejście się Narodów« (rywalizacja w szkole i wyprawa młodych artystów za granicę), które są parodjami wielkich kartonów Kaulbacha. W 1878 r. obezwładnia go atak paraliżu, umiera w r. 1891. Był on starszym bratem znanego rysownika i ilustratora Ksawerego. Ich ojciec pochodził z rodziny węgierskiej, ożenił się z Polką i w Polsce się osiedlił.

W 50-ch też latach, po Dreźnie i Monachjum bawił w Rzymie były uczeń warszawskiej Szkoły sztuk pięknych **Ignacy Gierdziejewski**, malował obrazy rodzajowe i fantastyczne, jak »Dżuma i topielec«, »Djabeł i pan Twardowski« i inne (zob. Katalog wystawy lwowskiej z r. 1894). Umiera w 34 roku życia (1866).

W tymże czasie pracuje kilka lat w Rzymie pejzażysta **Józef Marszewski**, urodzony w Warszawie w roku 1825, kształci się w Warszawie u A. Kokulara, potem od 1853 do 1856 r. w petersburskiej Akademji, gdzie zdobywa dwa srebrne medale. Po Petersburgu Paryż i Rzym. Umiera w Warszawie w 1883 r.

Około roku 1857, po skończeniu Akademji petersburskiej, w swojej podróży po zachodniej Europie, zajeżdża do Rzymu **Wojciech Gerson**, urodzony w Warszawie w roku 1831. Utalentowany pejzażysta, historyk sztuki, bardziej znany, choć mniej powołany, jako autor scen historycznych.

W roku 1860 bawi w Rzymie **Michał Elwiro Andriolli**, znany rysownik i ilustrator.

W sześćdziesiątych też latach pracuje w Rzymie rzeźbiarz **Marceli Guyski**. Urodzony w Krzywoszyńcach, powiatu Skwirskiego na Ukrainie, ukończywszy gimnazjum w Niemirowie na Podolu, po paroletniej nauce w Warszawie, studjuje rzeźbę w Bolonji, Florencji, wreszcie kilka lat tu w Rzymie, w pracowni Luigi Amici, autora pomnika Grzegorza XVI w bazylice św. Piotra.

Guyski wczesnie zaniechał tematów kompozycyjnych, jego specjalnością były portrety, popiersia i płaskorzeźby głów, rzadko tylko całe figury. Po Rzymie lat dziesięć pracował w Paryżu, poczem osiadł w Krakowie, gdzie umarł w roku 1903. Zostawił bogatą spuściznę w portretach, rzeźbionych w marmurze. Prawie wszystkie rodziny magnackie w Polsce posiadają jego prześliczne popiersia.

Krakowskie Muzeum Narodowe posiada jego wspaniałe biust Mickiewicza w brzoźnie i marmurowe popiersie pani z Chodźków Kochańskiej i także medaljon z figurą Anioła, młodzieńczą jego pracę.



MARCELI GUYSKI – MARMUROWE PORTRETY:  
P. Z CHODŹKÓW KOCHAŃSKIEJ, JADWIGI HR. BRANICKIEJ  
(Muzeum Narodowe w Krakowie)

Zwłaszcza podobieństwo i wdzięk twarzy kobiecej oddawał Guyski z nadzwyczajną subtelnością, a w traktowaniu płaskorzeźby był niedościgniony. A tak pewną miał rękę i oko, że kilka swych przepięknych popiersi wykuł, bez poprzedniego modelowania, wprost w bryle marmuru. Tak wykonał w Paryżu wyżej wspomniane popiersie pani Kochańskiej, córki Leonarda Chodźki.

Byłem nieraz świadkiem takiego portretowania, kiedy mu w roku 1885 czy 1886 pozował do biustu Adam Asnyk. Popiersie wypadło wspaniale, niestety po śmierci mistrza to arcydzieło, zamiast do muzeum, dostało się do rąk pewnej damy z Podola, która zapewniła opiekuna masy spadkowej po zmarłym artyście, że autor jej ten biust ofiarował. Dziś może jego szczątki, jak tyle innych nieocenionych zabytków polskiej kultury, leżą gdzieś, wtłoczone bolszewickim butem w grząskie błoto krwią ociekłej podolskiej ziemi.

Guyski, wielki artysta, był także przezacnym człowiekiem: dobry, bez cienia próżności, kochał młodzież i radby przelać w tych, którzy się do niego garnęli, całą swą wiedzę i doświadczenie. Sam delikatny i subtelny, chorobliwie nie znosił brutalności i prostactwa. Ci wszyscy, którzy go bliżej znali, odczuli jego zgon, jak stratę najbliższej osoby.

W Krakowie około roku 1880 zaproponowano mu kierownictwo pracowni rzeźby w Szkole sztuk pięknych, ale ponieważ podówczas rzeźba była tam traktowana po macoszemu, jako przedmiot dodatkowy (docentura) i nie było dla niej dostatecznego lokalu, a liczba godzin mała i nieustalona, po usilnych a bezowocnych zabiegach, żeby uzyskać korzystniejsze dla swego przedmiotu warunki, ustąpił i długie lata uczył modelowania panienki na kursach Baranieckiego.

Jednocześnie z Guyskim bawił w Rzymie przedwcześnie zmarły, utalentowany malarz **Leonard Straszyński**, sąsiad i kolega Guyskiego. Malował on obrazy rodzajowo-historyczne i religijne. Jego obraz posiada w głównym ołtarzu kościoła w Skwirze. Gdzieś widziałem inny, krotochwilnej treści »Stanisław August w pracowni Baciarellego« - król ukryty za parawanem, przygląda się przez szparę nago pozującej damie. Widziałem też u siostry artysty tekę jego doskonałych rysunków, a tu w Rzymie nabyłem na wyprzedaży po doktorze Mazzonim jego małą akwarelę, minjaturowo wykończone studjum rycerza, dedykowane doktorowi, datowane 1862 r.

Około roku 1870-go, po pobycie w Dreźnie i Berlinie, przyjeżdża do Rzymu młody, utalentowany rzeźbiarz, warszawianin **Karol Kloss**, pracuje tu lat kilka, w roku 1873 powraca do Warszawy, gdzie w ośm lat później, w 32-m roku życia umiera. Warszawskie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych posiada jego grupę marmurową, pół naturalnej wielkości »Skała Tarpejska«: atletycznej budowy nagi mężczyzna z nieco szarżowanym wysiłkiem strąca w przepaść przerażoną, rozpaczliwie opierającą się kobietę.

Przed rokiem 1880 przybywa tu malarz, laureat petersburskiej Akademji (medal złoty) **Ludwik Wiesiołowski**, po paroletnich studjach w Rzymie i w Paryżu,

powraca do Warszawy, maluje obrazy treści historycznej i zakłada tam Szkołę sztuk pięknych dla kobiet.

Niedługo po nim zjeżdża do Rzymu i bawi lat kilka **Stanisław hr. Roztworowski**, jak poprzedni odznaczony złotym medalem w Petersburgu. Obok rodzajowych obrazów maluje pejzaże, talent ma niepospolity, niestety, jak jego rówieśnik Wiesiołowski (obaj urodzeni w 1856 r.) umiera młodo w Krakowie w roku 1888. – Wiesiołowski w Warszawie w 1892.

W roku 1873 przyjeżdża tu na krótki pobyt już ciężko chory, na piersi, wielki malarz **Maksymiljan Gierymski**, urodzony w Warszawie w roku 1846. Ale łagodny klimat rzymski nie przynosi mu ulgi, umiera w roku 1874 w Reichenhalu.

Nieco później bawi w Rzymie brat zmarłego **Aleksander**, o trzy lata młodszy od Maksa, tu maluje między innymi swoje doskonałe obrazy »Gra w Mora«, »Austeria w Rzymie« i inne, oryginalne oświetlenie z dwóch przeciwnych stron na jednym z tych obrazów, znajduje imitatora-pasożyta w jakimś monachijskim malarzu, który stworzywszy sobie manierę z takiego oświetlenia, za jej pomocą dorobił się majątku. W ogóle wielu naszych i obcych malarzy bywało pod wpływem Aleksandra Gierymskiego, starało się naśladować niedoścignioną siłę i harmonję jego światła i kolorów, tylko on sam nie naśladował nikogo prócz natury, nie naśladował nawet samego siebie, bo się nie powtarzał, a szukał nieustannie nowych dróg, podpatrując coraz bardziej nieuchwytnie tajemnice piękna w naturze.

W roku 1899 Aleksander Gierymski przyjeżdża do Rzymu powtórnie. Jest przemęczony i ma nerwy tak rozstrojone, że lada drobiazg wyprowadza go z równowagi. Unika ludzi, ale pracuje zawzięcie, niestety w rezultatach jego pracy stopniowo zaczyna się zaznaczać pewien upadek. Nerwowość i niepokój wzrastają, zwłaszcza po nagłej śmierci paryjaciela inżyniera Brunona Abakanowicza.

Gierymski całkiem pochłonięty swoją sztuką, w sprawach finansowych, zwłaszcza w ostatnich latach życia, był zupełnie niezaradnym. Abakanowicz zabierał z jego pracowni skończone obrazy, sam je spieniężał, w jego też kasie Gierymski miał stałe i bezpieczne *conto corrente*, nie potrzebował się troszczyć o swoje, do minimum zresztą ograniczone życiowe potrzeby.

Śmierć Abakanowicza odjęła mu spokój o jutro, chore nerwy nie wytrzymały silnego wstrząsu, po kilkutygodniowej męce nastąpił atak na mózg i gwałtowny

paraliż wewnętrznych organów. Niepoczytalność umysłowa trwała tylko cztery dni, na dwa dni przed zgonem odzyskał przytomność. Zmarł w 1901 roku.

Zwłoki jego spoczywają na rzymskim cmentarzu Campo Verano, na wzgórzu zwanem Pincetto, na grobie jest pomnik z trawertynu z bronzowym popiersiem zmarłego. Jego grób, mogący pomieścić kilka trumien, jest jednocześnie ostatnim przytułkiem dla zasłużonych, a zmarłych w ubóstwie artystów polskich, których zwłokom groziłoby pogrzebanie we wspólnym czasowym dole. Legły już tam, jak o tem na innym miejscu wspomniałem, śmiertelne szczątki Wiktora Brodzkiego.

W latach 80-tych zeszłego stulecia przybywa do Rzymu, jako laureat i stypendysta wiedeńskiej Akademji Sz. P., młodociany krakowianin **Franciszek Krudowski**, urodzony w 1850 roku, pozostaje on w Rzymie lat kilkanaście, wyjeżdża do Krakowa i Monachjum i znowu powraca, aż około 1900 roku osiada w Krakowie, gdzie mieszka dotychczas.

Na studjach w Wiedniu talent Krudowskiego zapowiada się tak świetnie, że profesorowie i koledzy widzą w nim przyszłego Rafaela, a jego studja pozostają w Akademji, jako pamiątka po wyjątkowym uczniu.

W Rzymie sypią mu się zamówienia z kraju i zagranicy, tak wielkie wrażenie wywarły jego pierwsze obrazy religijne. Tu maluje większe płótna do kościoła OO. Zmartwychwstańców i do Kolegium Polskiego na Via dei Maroniti i dla osób prywatnych, ale im więcej napływa zamówień, z tem mniejszym zapałem przyjmuje je artysta, tem wolniej się zabiera do ich wykonania, tem dłużej na wykończenie obrazów czekają zamawiający. I to nie jest u niego tylko niechęć do pracy na urząd, on wogóle malować przestaje. Niechętnie uchylał drzwi przychodzącym go nawiedzić w jego podniebnej pracowni pod kremalierami wieży pałacu weneckiego.

Podobno pochłaniają go studia filozoficzne, okultyzm, teoria muzyki... Może co pisze, może komponuje utwory muzyczne, nikt tego nie wie, ale czy coś stworzy w tym kierunku? Czy ta jego robota wyjdzie na światło dzienne i czy będzie co warta – nie wiadomo, natomiast po pierwszych jego obrazach zdawało się być pewnem, że jako malarz pozostawi bogatą spuściznę, bardzo wysokiej wartości.

Niestety Krudowski nie tylko swój własny talent zaniedbał: jego sympatyczne towarzystwo, niezmiernie interesująca z nim rozmowa, a także jego dystynkcja i wyjątkowy jakiś jego wdzięk, pociągały ku niemu młodszych kolegów. Tej jego atrakcji uległ niezmiernie utalentowany młody rzeźbiarz **Piotr Wójtowicz**, rodem z Przemyśla. Pochodząc z bardzo ubogiej rodziny, musiał wcześniej

przerwać szkolną naukę i sam na swoje utrzymanie zarabiać. Pracował u snycerza-ramiarza w rodzinnym mieście. W rzemieślniczym warsztacie rozbudziło się u chłopca uwielbienie dla sztuki i pragnienie poznania jej tajemnic. Z odwagą fanatyka-pielgrzyma, on, kilkonastoletni, wąły chłopak, bez żadnych środków dociera do Krakowa, ale tam nie pozostaje długo. Czy napotkał na trudności, gdy chciał wstąpić do Szkoły sztuk pięknych, czy go nęca zasłyszane wspaniałości naddunajskiej stolicy, dość że wędruje dalej do Wiednia.

I tam praca na utrzymanie zabiera mu wiele czasu, ale zostaje przyjęty do Akademii na kurs profesora Hellmera (*Algemeine Bildhauerschule*). Pomimo długich i częstych przerw w nauce, robi ogromne postępy. Nieraz o szóstej rano przychodzi do Sali rzeźby, żeby czas stracony w warsztatach nadrobić, a nie mając środków na wynajęcie modelu w nadprogramowych godzinach, rozbiera się do naga i na sobie studjuje kształty i grę mięśni. Często niedojada, mizernieje i chudnie, ale jego talent rozwija się i krzepnie. Profesor Hellmer poznaje się na wielkim talencie Wójtowicza, wzywa go do pomocy przy modelowaniu wielkiego pomnika Stahrenberga do kościoła Ś. Szczepana. Powierza mu wykonanie figury Matki Boskiej na szczycie pomnika i postaci Sobieskiego. Obie te figury są pyszne: Madonna czaruje świętym wdziękiem, Sobieski godnością i siłą.

Wójtowicz przechodzi na Meisterschulę profesora Zumbuscha, ale i tam mało korzysta z pracowni i darmowego modelu, musi zarabiać na mieście.

Dwuletni termin na wykonanie pracy konkursowej na rzymską nagrodę dobiega końca, jest początek kwietnia 1890 roku. Koledzy Wójtowicza, dwóch Niemców, Węgier i Szwajcar, drugi rok pracują nad swoimi dziełami. Temat kompozycji dowolny. Wójtowicz zabiera się do szkicu. Nakłada go, przerabia, męczy się i zmaga... ustala temat: będzie modelować »Porwanie Sabinki«. Rusztowanie do naturalnej wielkości grupy buduje sam, jest gotowe na 1-go maja. Pracuje zapamiętane, 20-go lipca sąd konkursowy ma zawyrokować o nagrodzie. Wójtowicz coraz mizerniejszy, ale grupa postępuje z dnia na dzień. Ma chwile zniechęcenia, traci wiarę w zwycięstwo, w bezstronność sądu... Ale kolegom, jego konkurentom, miny rzedną coraz bardziej, z niepokojem patrzą na potężną, piękną figurę Rzymianina, na bezradnie przegięte przez jego ramię cudne ciało Sabinki.





PIOTR WÓJTOWICZ - PORWANIE SABINKI (gips), STUDJUM (bronz)  
(Muzeum Narodowe w Krakowie)

20 lipca Wójtowicz stał się zwycięzcą rzymskiej nagrody.

On był nie tylko wyjątkowo utalentowanym artystą, ale posiadał niepospolitą inteligencję, która w odpowiednich warunkach mogłaby się znakomicie rozwinąć i ułatwić mu wykształcenie ogólne. Niestety ani w kraju, ani w Wiedniu nie miał na to ani środków, ani czasu. Pojechał do Rzymu kulturalnie za mało przygotowany. Przy względnym dobrobycie, który mu zapewniło stypendjum, reakcja po wieloletniej nędzy i pracy ponad siły, rozmarzające ciepło południa, dobre wino i miłe towarzystwo »bezrobotnego« Krudowskiego sprawiło, że Wójtowicz swego pobytu w Rzymie należycie nie wyzyskał. Pozostała mu, że tak powiem, materialna strona talentu, nie wzbogacił go wiedzą, nie pogłębił uczuciem.

Opuściwszy Rzym, kilka lat pracował we Lwowie przeważnie nad rzeźbami dekoracyjnymi dla nowych budowli. Parę jego pysznych figur zdobił facjatę lwowskiego teatru. Potem przemieszkuje przeważnie w Budapeszcie. Ma

wielkie powodzenie u budowniczych, ale na wystawach sztuki jego prac się nie spotyka, ani w kraju, ani zagranicą, nie bierze on też udziału w nielicznych u nas konkursach. Głucho o nim w świecie, a jednak był to jeden z najlepiej zapowiadających się talentów rzeźbiarskich w naszych czasach.

Jego piękna konkursowa grupa, owo »Porwanie Sabinki«, stoi w krakowskim Muzeum Narodowym w kruchym, słabym, gipsowym modelu. »Kompetentne czynniki« nie zdobyły się na odlanie tej pięknej rzeźby w bronzie! To samo Muzeum posiada jego wdzięczną figurę w  $\frac{3}{4}$  naturalnej wielkości, »Dziewczynę zaplatającą warkocz«, ta jest w odlewie brązowym, bo już jako bronz przypadkowo dostała się do Muzeum.

Wójtowicz mieszka obecnie we Lwowie.

W osiemdziesiątych latach, jednocześnie z Krudowskim, z jego generacji studują po parę lat w Rzymie malarze **Unierzyski, Jan Styka** i rzeźbiarz **Tadeusz Błotnicki**. Pierwszy z nich, przyszły zięć Jana Matejki i profesor krakowskiej Szkoły sztuk pięknych, obaj malują przeważnie obrazy treści religijnej. Styka dorabia się z czasem znacznego majątku, przebywa głównie w swej posiadłości w Garches pod Paryżem, po wojnie nabywa piękną willę na Capri, gdzie spędza lato. Umiera w Rzymie w 1926 roku. Błotnicki po powrocie z Rzymu pracuje dłuższy czas w Krakowie, potem we Lwowie, umiera niedawno.

Podczas ostatnich lat trzydziestu, które przeważnie w Rzymie spędziłem, byłem świadkiem wolnego zanikania polskiej kolonji artystycznej nad Tybrem. Wypadło mi chować Aleksandra Gierymskiego, Wiktora Brodzkiego, wkrótce po Gierymskim zmarł Siemiradzki, w lat dziesiątek po Brodzkim zabrakło Rygiera. Dziś najstarszym wśród nas i najdawniejszym rzymianinem jest Stefan Bakałowicz.

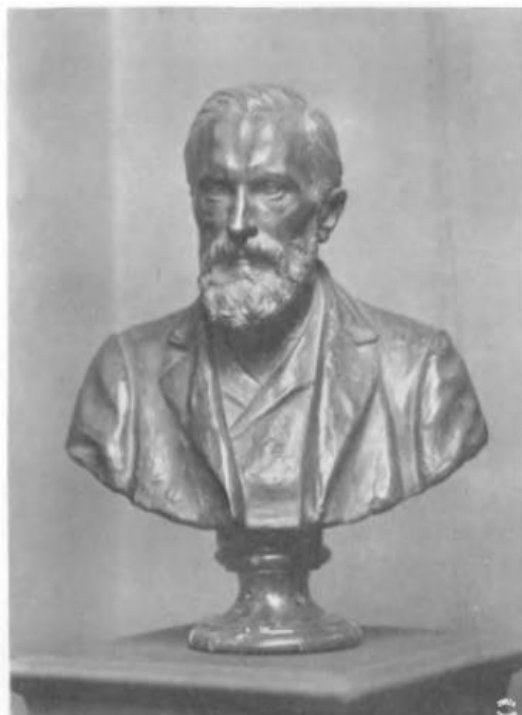
Z moich współczesnych przebywali tu dłuższy czas malarz **Edward Okuń** i rzeźbiarz **Henryk Glizenstein**, urodzony w Polsce izraelita. Przybyli oni do Rzymu o rok czy parę wcześniej odemnie. Pierwszy wkrótce po wojnie przeniósł się do Warszawy, drugi w ciągu ostatnich lat kilkunastu przerywał swój pobyt w Rzymie dłuższymi wyjazdami do Niemiec, Szwajcarii i Anglii, a obecnie wraz z synem malarzem bawi w Stanach Zjednoczonych.

Jednocześnie z nimi przybył tu także młody malarz, **Edward Grajnert**, warszawianin, skromny, poważny i mało powiedzieć pracowity, zawzięty, zapamiętały w pracy. Nie był bez zdolności, ale nie miał łatwości w robocie, technikę musiał zdobywać ciężkim wysiłkiem, a własnym przemysłem środki do

życia. Z natury towarzyski, nawet wesoły, do kawiarni, do kolegów przychodził na krótko, nie zasiadywał się, często był milczący, roztargniony: ciągle myślał o swojej pracy i skutecznym sposobie zarobienia trochę grosza na życie. Może niektórzy uważali go za mało zabawnego, ale wszyscy musieli go szanować, 3 czy 4 lata z rzędu powracał do Rzymu, ostatni raz z młodą, sympatyczną, jak sam skromną i poważną żoną. Trzeba było pracować jeszcze usilniej, żeby się utrzymać we dwoje. Napisał niezły przewodnik po Rzymie.

W 1905 roku doszła nas smutna wieść o tragicznej śmierci Grajnerta. Towarzysze-teroryści zamordowali go »przez pomyłkę« w Łodzi, gdzie podówczas był nauczycielem rysunków w jednym z gimnazjów. Ich ofiarą miał paść inny, również nauczyciel rysunków, czynny przeciwnik »towarzyszy«.

Gdym osiadł w Rzymie, na wiosnę roku 1898, zastałem tu sympatyczną paczkę młodych malarzy. Był wśród nich niezapomniany, przedwcześnie zgasły **Konrad Krzyżanowski**, jego kolega z Akademii petersburskiej **Edward Trojanowski**, dzisiejszy profesor Szkoły warszawskiej, był **Gosienicki** z Poznania, **Mann**, **Radwański** z Warszawy, dwaj bracia **Dyzmańscy**, później przybył **Jan Wysocki**, wtedy malarz, dziś rzeźbiarz i medaljer, profesor w Szkole przemysłu artystycznego w Poznaniu, ciągle przyjeżdżał ktoś nowy ale były to krótkotrwałe, kilkotygodniowe, rzadziej kilkumiesięczne wyprawy, a niewielu tylko gościło tu rok lub dłużej.



ANTONI MADEYSKI – STEFAN BATORY (marmur), PORTRET ALEKSANDRA GIERYMSKIEGO (bronz)  
(Muzeum Narodowe w Krakowie)

Większość nie była zasobna w środki, ale też Rzym wtedy był tak tani, że zahartowany w biedzie polski student, jeśli posiadał do wydania na swoje utrzymanie 50 do 60 lirów miesięcznie, mógł spać spokojnie. Dziś się to zdaje być nieprawdopodobnym. Oto jest rejestr głównych wydatków takiego szczęśliwego obywatela: pokój z usługą 20 lirów miesięcznie, obiad w skromnej trattorii (np. Volpiniego na via Vittorio), składający się z zupy *di verdura* (bardzo gęstej i pożywnej) cent. 10, pół porcji makaronów – 15 cent., ćwiartka wina – 15 cent. i sporego kawałka chleba – 5 cent., kosztował razem 45 cent. Jedząc zamiast makaronów sztukę mięsa z jarzyną, płacono się o 10 cent. więcej, przeplatając przez dzień obiad jarski z mięsnym, wydawało się miesięcznie całych 15 lirów. Pozostawało lirów 10, względnie 20 na ranne śniadanie, kolacje i nadzwyczajne wydatki. Szczęśliwi, którzy mieli więcej, ale do podtrzymania życia i dobrego humoru wystarczało i tyle.

My, starsi i nieco zasobniejsi, jadaliśmy w trattoriach trochę droższych i czystszych. Ja na przykład w ciągu lat blisko dwudziestu i przez czas swego ostatniego pobytu w Rzymie, Gierymski, a także Stanisław Kętrzyński, jadaliśmy w dzień w *Trattoria dei Tre Re* na via Flaminia, koło mojej pracowni. Wydawaliśmy tam, jedząc do syta od 1 lira 10 cent. do 1'50. Był w tej knajpeczce w głębi porządniejszy pokój z kilkoma stołami, przy których się grupowali artyści różnych narodowości: na lewo od mego, większy stół obsiadali Niemcy. Wśród nich stałym gościem od lat był sławny berlińczyk, rzeźbiarz koni **Louis Tuillon**, a grono jego przyjaciół, malarzy i rzeźbiarzy często się powiększało o kogoś przejeźdnego, czasami o jakąś niemiecką znakomitość. Niewielki stół przed moim, najczęściej międzynarodowy, przez czas pewien był zajmowany przez Włochów z Gabrjelem D'Annunzio i malarzem Micchettim na czele. Jadał tam długi czas **Aristide Sartorio** i wielu innych wybitnych artystów włoskich.

Z wybuchem wojny stół niemiecki stracił swoich bywalców, ale sąsiedni, długi obsadził Pepino Garibaldi (wnuk wielkiego) ze swoimi sympatykami. Cóż za siarczyste dyskusje na temat interwencji prowadziły się wtedy, jak się kreśliła mapa Europy!

I mój stół często był nawiedzany przez wybitnych gości z kraju i nawet wybredni smakosze chwalili sobie świeże langusty i sole, *fritto scelto*, *bistecche alla parigina... e carcioffi alla giudia* nie były gorsze niż u starego Abrama Piperno na Piazza Cenci.

Ciekawe były nasze rozmowy od stołu do stołu w różnych językach. Koleżeńska życzliwość panowała wśród tej różnoplemiennej gromadki: nawet Niemcy,

porwani pogodnym rzymskim nastrojem, hamowali swą arogancję i rozmawiali spokojnie o drażliwych sprawach politycznych.

Wieczorem małe polskie kółko schodziło się w innej, nieco większej traktjerni, u Fiorellego, za kościołem Ś-go Karola, na via Delle Colonne. Sędziwy Wiktor Brodzki od dziesiątków lat był tam stałym gościem. Tam często jadali z nami nasi młodszy historycy, pracujący w archiwach watykańskich, a więc dzisiejszy gen. sekretarz P. Akademii Umiejętności w Krakowie, prof. Stanisław Kutrzeba, obecny poseł w Hadze Stanisław Kętrzyński, prof. Ptaśnik i inni. Czasem przychodził tam któryś z bawiących w Rzymie starszych profesorów, artystów, zawsze ktoś z licznie w owe czasy odwiedzających Rzym Polaków.

Ale miejscem zbornem, spotkaniem pomniejszych rozbitych na kilka różnych jadłodajni grup, było odwieczna *Caffè Greco Antico*, na via Dei Condotti. Tam w ciągu lat półtora, kilka generacji artystów miało swój punkt zborny. Tam w roku 1848 przyjaciele i wielbiciel, Polacy i cudzoziemcy, żegnali opuszczającego Rzym Mickiewicza, tam poświęcano na sztuki i rozebrano na pamiątkę jego pluszową kamizelkę, którą, zapomnianą w opuszczonym już mieszkaniu na via Del Pozzetto, przyniósł w chwili wyjazdu któryś z przyjaciół. Tam z pewnością i za pierwszym swym pobycem w Rzymie przesiadywał Mickiewicz i Odyniec w towarzystwie Wojciecha Stattlera i innych członków ówczesnej artystycznej kolonii polskiej w Rzymie.

Z jednej izby od strony ulicy za czasów Canowy i Thorwaldsena rozrosła się ta kawiarenka na kilka ubikacji, wciskających się w głąb domu i dziedzińca. Ostatni na prawo, wąski w kształcie wagonu kolejowego, pokój zarekwirowała sobie w końcu lat dziewięćdziesiątych polska młodzież artystyczna. Była tam paka z kilkudziesięcioma książkami, to biblioteka-wypożyczalnia, na szaragach wisiało kilka polskich gazet i tygodników przesyłanych nam darmo, albo ze znacznym zniżeniem przez redakcje. Nad szaragami umieściliśmy portret Mickiewicza, malowany dla tej »instytucji« przez Edwarda Okunia. Składka członkowska wynosiła »pokaźną« kwotę 20 cent. miesięcznie.

Tu nowoprzybyli spotykali się z zasiedzianymi rzymianami, tu prowadziło się dyskusje i spory o nowych kierunkach w sztuce, a tygodnik krakowski *Życie* informował nas o najnowszych pracach Przybyszewskiego i Wyspiańskiego, o życiu artystycznym w kraju.

Zwłaszcza w sobotę wieczorem wąskie, twarde ławeczki pod ścianami salki były gęsto obsadzone aż do późnej nocy. Tam powstawały projekty zbiorowych wycieczek, stamtąd w księżycową noc wiosenną czy letnią szło się do Colosseum albo na Ianiculum.

Pamiętam, jak raz w maju 1898 roku, podczas takiego spaceru, gdy o godzinie 2-iej, po dłuższej sjeście na złomach wewnętrznych murów Colosseum, towarzystwo wracało do domów, Konrad Krzyżanowski i któryś jeszcze z młodszych malarzy oddzielili się od grupy i powędrowali na Via Appia. Nie powrócili aż następnej nocy... Z Via Appia Antica, przez Campanję puścili się na przełaj do Albano, Genzano aż na brzeg jeziora Nemi, tam, gdy towarzyszył spał na murawie, Krzyżanowski, który miał ze sobą farby, namalował dwa dobre studia. Powrót, jak i wycieczkę, odbyli pieszo, przy świetle księżycy.

W ciągu kilku miesięcy swego pobytu w Rzymie w 1899 roku przyłączył się do naszego kółka Alfred Wysocki, wtedy młody publicysta, przybyły tu z Norwegii, towarzysz Przybyszewskiego w Berlinie, obecny vice-minister spraw zagranicznych.

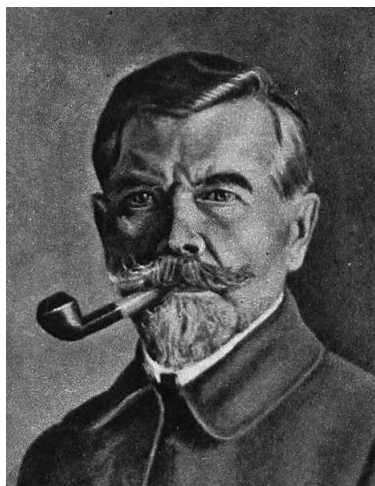
Posiedzenia w *Caffé Greco* nie rujnowały nikogo: kawa, mleko, woda z sokiem, czy wermut kosztowały od 15 do 25 cent., a grania w karty lub bilard nie uprawialiśmy wcale.

Po paru latach ożywienia, życie w naszej czytelnicy w *Caffé Greco* zaczęło zamierać: część pierwszych jej członków powróciła do kraju, reszta podzieliła się na drobniejsze kółka, żyjące osobno, redakcje zaniechały przesyłania swych wydawnictw, czytelnicy przestała istnieć.

Przyjezdni Polacy, a niekiedy i któryś z miejscowych, zaglądali i dziś jeszcze zaglądają z rzadka do *Caffé Greco*, ale już tylko zakopcony dymem i kurzem portret Mickiewicza przypomina, że był tam niegdyś punkt zborny polskiej kolonji artystycznej.

ANTONI MADEYSKI

Rzym, 1929.



ANTONI MADEYSKI - PORTRET WŁASNY (ol.)